Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 29.
dnia 19. Czerwca 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*"

TOM II.

(Ciąg dalszy).

Pan Wyżyński zmarszczył czoło i zamyślił się głęboko. Wiadomość, którą otrzymał, nie sprawiła mu przyjemności. Mimo to nie przychylił się do zdania swego współpracownika i po niejakim czasie rzekł stanowczo:

— Dla marnego grosza ani ja, ani moja gazeta nigdy się nie spodli... Wolę paść sam, niż rzucać się na człowieka uczciwego, jedynie w tym zamiarze, by własną egzystencję ocalić. Inna rzecz gdyby *Przyszłość* nie miała programu polskiego, wtedy dla dobra kraju, nie cofnąłbym sie przed niczem, ale dziś, czy godziwą było by rzeczą szkalować ją i jej redaktora?

— Więc nic pan nie przedsięweźmiesz?

— Najwięcej co mogę uczynić, chyba to, że o *Przyszłości* wspominać nie będę, aby jej rozgłosu nie robić. Wprawdzie i takiego postępowania nie nazwę sam honorowem, dzienniki bowiem powinne mówić o sobie, ale do tego zmusza mnie niestety moje wyjątkowe położenie... W razie, gdyby *Przyszłość* zabiła moją gazetę, musiałbym pójść na starość do domu ubogich.

— Ale takie przemilczanie nie pomoże! — pan Walery żywo zaprotestował. — My o niej nie będziemy wspominali, a ona tymczasem co dzień będzie nowych zwolenników zyskiwała. Już dziś słychać głosy w mieście, chociaż tu każdy uważa się za demokratę, że *Przyszłość* jest pismem bardzo porządnem, a cóż dopiero muszą mówić na wsi, gdzie szlacheckie teorje Gozdawy łatwiej niż w mieście trafiają do przekonania! *Przyszłość*, mając pieniądze, będzie nas powoli podmulała, jak woda co brzegi obrywa, i ani się pan postrzeżesz, kiedy zginiemy.

Pan Wyżyński wzruszył ramionami.

— Ha, dziej się wola Boża! — odrzekł.

Żylewicz nie chciał dać za wygranę. Usiadłszy przy swoim pryncypale, jeszcze pół godziny męczył go i nudził, aby koniecznie na swojem postawić. Pragnął zaś ni mniej ni więcej, jeno bezwarunkowego pełnomocnictwa do prowadzenia wojny zaczepnej, nie tyle z *Przyszłością* samą, co z jej redaktorem i właścicielem. Na tej drodze spodziewał się cel najprędzej osiągnąć. Rozumowanie jego było proste: Walka z gazetą, przedstawiającą inne zasady, nie zawsze jest pewną, ludzie bowiem dzielą się na różne obozy, skutkiem czego ci stają po tej, tamci po owej stronie. Taka walka wychodzi niekiedy nawet na korzyść pisma, które chciałoby się zabić, ponieważ często szersze koła dopiero z głośnej polemiki dowiadują się o jego istnieniu i wyznawanych przezeń zasadach. Przeciwnie, uderzanie na właściciela i naczelnego redaktora gazety, w kraju tak wszelkiej myśli politycznej pozbawionym, jak właśnie Galicja, nigdy nie zawodzi. Pan Walery znając społeczeństwo, wśród którego żył, wiedział, że jeźli tylko napisze, iż redaktor *Przyszłości* jest niedowarzonym półgłówkiem, albo człowiekiem niepewnych zasad politycznych, i jeźli prócz tego doda na końcu kilka kropek... aby czytelnicy mogli się wszystkiego domyślać, każdy z nich uwierzy mu na słowo i nie tylko *Przyszłości* do ręki nie weźmie, nawet przeciw niej będzie agitował namiętnie.

Pan Wyżyński przyznawał mu rację, to jest nie przeczył, że na tej drodze można by się najłatwiej pozbyć niebezpiecznego współzawodnika, ale mimo to stanowczo oparł się jego żądaniu, zapewniając, że *Teraźniejszość* będzie odtąd walczyła jedynie z zasadami, nigdy zaś z osobami. Usłyszawszy to Żylewicz, wyszedł oburzony.

Rozmowa powyższa toczyła się pod sam koniec ćwierćrocza, w którym to czasie, jak wiadomo, czytelnicy pism przedpłatę odnawiają. Pan Walery, spodziewając się, że wkrótce będzie mógł stanąć przed właścicielem gazety z nowemi dowodami, chodził od tego dnia bardzo pilnie do administracji, przeglądał spisy tych, którzy przedpłatę odnowili, porównywał je z wykazami poprzednich kwartałów i coś sobie notował. Administrator ani się domyślał, do jakiego wniosku Żylewicz dojdzie.

On po dniach czternastu, wziąwszy książki i wykazy, udał się znowu do pana Wyżyńskiego.

— Nie chciałeś mnie pan słuchać przed dwoma tygodniami — rzekł — więc może choć teraz trafię do pańskiego przekonania.

Pan Wyżyński zaintrygowany, wypatrzył się na mówiącego.

— Czy stało się co? — zapytał.

— Nie mogło stać się nic gorszego... Jak dotąd straciliśmy już 250 abonentów i jeżeli tak dalej pójdzie, do roku połowa nam odpadnie.

Właściciel gazety ręką machnął.

— Wiem, wiem — odpowiedział. -- Wszak moja kasa pierwsza to odczuwa.

— I pan nic na to?

— A cóż pan chcesz bym czynił?

— Przecie nikt nam abonentów nie zabiera tylko *Przyszłość*.

— Być może... ale temu przeszkodzić nie w mojej mocy.

Żylewicz ręce załamał.

— Więc pan widzisz — zawołał — że ci się dach nad głową pali, a nie chcesz go gasić! Więc wolisz doczekać się upadku, niż ratować się póki czas jeszcze?

— Smutny to ratunek, który się okupuje uczciwością i honorem.

Żylewicz zaśmiał się szydersko.

— Kiedyś pan taki skrupulatny — odparł — to oddaj mnie tę sprawę. Już ja sobie dam radę, i z pewnością nie będę miał wyrzutów sumienia. Nie tęgi to w mych oczach dziennikarz, który się walki obawia... Zresztą jeźli sumienie pańskie aż tak drażliwe, że wolisz ginąć niż się bronić, więc na kilka tygodni wyjedź pan na wieś lub do Wiednia, a ja w tym czasie wszystko tu załatwię. Przekona się ten dyletant, jak słodkim jest chleb dziennikarski!

Żylewicz mówiąc to, tak straszno wyglądał, że pan Wyżyński mimo iż miał czas przywyknąć do jego fizjognomji, niemiłego doznał wrażenia.

— Panie Walery — odpowiedział spokojnie — bardzo mi przykro, że znów wracamy do przedmiotu, który niedawno temu omówiliśmy długo i szeroko. Wszak wiesz, że zdania mego nie zmienię, na cóż więc drażnić niepotrzebnie mnie i siebie? Co więcej, wyznać nawet muszę, że niezmiernie mi dziś żal, iż niegdyś słuchając rad, pańskich zostawiałem ci w gazecie za wiele wolności, z której na swój sposób umiałeś korzystać. Dziś po raz ostatni oświadczam ci panie Walery, że *Teraźniejszość* nie zna odtąd osobistości, tylko zasady. Jeźli chcesz byśmy w przyjaźni zostali, racz się do tego zastosować.

— Więc to ostatnie pańskie słowo?

— Ostatnie!

Żylewicz taką odpowiedź otrzymawszy, nacisnął czapkę na uszy, trzasnął drzwiami i do najwyższego stopnia oburzony, wybiegł na ulicę. Tu stanął i patrząc w okna redakcji mruknął półgłosem:

— A to stary osieł! To niedołęga!

Wprawdzie i on nie należał do młodzików, wszelako w żyłach swoich czuł jeszcze krew gorącą, która go zachęcała do walki bezustannej. Inaczej bo też on pojmował zawód dziennikarski niż jego pryncypał. Pan Wyżyński marzył o spokojnej pracy i zasadach, przeciwnie on pragnął ciągle namiętnych sporów i wszędzie szukał osobistości. Jednostajność mogła go zabić; prciwnie kłótnie, szkalowanie się i błotem obrzucanie było dlań szczytem szczęścia.

Mylił by się ten jednak, ktoby sądził, że rozgniewany na właściciela gazety poszedł zły humor utopić w żytniówce pod „Dziką wroną“. Żylewicz był dziś tak zirytowany, że do uspokojenia potrzebował jakiegoś czynu nadzwyczajnego. Przedewszystkiem pragnął nadziei, ze znajdzie tę walkę, której tak pożądał. To też nie poszedł do kawiarni, mimo że go tam od godziny wyglądało grono przyjaciół serdecznych, tylko drogą najkrótszą udał się do mieszkania Ryszarda Gozdawy.

Nasz przyjaciel zajmował połowę pierwszego piętra w jednej z mniejszych kamienic. Prócz mie-

szkania miał tam i redakcję, dla której trzy pokoje przeznaczył. Ze wschodów prowadziły drzwi na prawo do redakcji, na lewo do jego apartamentów. Żylewicz na górę wyszedłszy, ani się rozglądał, ani o nic nikogo nie pytał, tylko zwrócił się zaraz w lewo i za dzwonek, który przy drzwiach wisiał, silnie pociągnął. Widocznie musiała go *Przyszłość* bardzo obchodzić, skoro wiedział tak dokładnie, gdzie szukać jej redaktora.

Na głos dzwonka zjawił się służący.

— Jest pan Gozdawa? — Żylewicz głośno zapytał.

Służący zmierzył nieznajomego od stóp do głowy; musiała mu się nie podobać jego figura, gdyż jąkając się odpowiedział.

— Nie wiem... ale zdaje mi się, że nie ma... zaraz zobaczę.

— Widocznie jest mój przyjacielu, kiedy się tak wykręcasz! — zawołał Żylewicz wchodząc do przedpokoju, zkąd ruszył prosto do saloniku.

Służący, przestraszony zuchwałością nieznajomego, który wyglądał na opryszka, drogę mu zastąpił, i aby go w przedpokoju zatrzymać, zamierzał nawet użyć przemocy, gdy wtem Ryszard się pojawił.

— Co to jest? — zapytał.

— Jakiś taki, proszę pana, co go trudno poznać, pcha się koniecznie do salonu.

— Cicho gamoniu! — zawołał pan Walery oburzony. — Jestem redaktor Żylewicz, nie ośle jakiś tam taki!

Ryszard usłyszawszy nazwisko przybyłego, skinął ręką na Marcina, żeby się oddalił, sam zaś zwracając się do gościa rzekł uprzejmie:

— Proszę pana dobrodzieja.

Żylewicz wszedł do salonu, w którym dobry smak łączył się ze skromnością człowieka wyższego umysłu. Na ścianach wisiały obrazy olejne, na posadzce leżał kobierzec, źwierciadło w czarnych ramach sięgało od dołu do sufitu, meble były ciemne i gustowne. Na stole paliła się duża lampa, mająca banię w kształcie tulipanu.

Główny filar *Teraźniejszości*, ujrzawszy się w takiem otoczeniu, przed człowiekiem wytwornym, który przysuwał mu fotel, prosząc, żeby usiadł, mimowoli po za siebie spojrzał, bo mu się zrobiło dziwnie nieswojsko. On przywykł do innych ludzi i innego otoczenia... Nie czas jednak było żałować, że tu przyszedł; raczej należało okazać, że sobie z niczego nic nie robi. Dowodem tego miał być ton prawdziwie demokratyczny.

— Czemu się pan tak na mnie patrzysz, jakbym cię chciał zjeść? — zapytał. — Ja przyszedłem tylko w interesie, i to nie w swoim, lecz w pańskim.

Szczerze wyznajemy, że nasz przyjaciel nie mając jeszcze sposobności zapoznania się bliżej ze skrajną demokracją pana Żylewicza, usłyszawszy jego przemówienie, osłupiał i słowa z siebie nie mógł wydobyć. Ten tymczasem, sądząc po wrażeniu, że mu nielada zaimponował, dalej mówił:

— Żal mnie pana bardzo i dla tego chciałbym ci dopomódz. Jeszcześ pan młody, więc mogą być z ciebie ludzie.

Ryszard, który Żylewicza znał tylko z widzenia i z reputacji, po tem nowem przemówieniu był najpewniejszy, że zanim przyszedł do niego, przedtem wypróżnił kilka butelek. Jednakowoż nie okazał tego po sobie i przysuwając bliżej fotel, rzekł uprzejmie:

— Bardzo mi miło, żeś pan dobrodziej raczył mnie odwidzieć. Proszę tylko usiąść... Marcinie! — zawołał na służącego — podaj cygara!

— Przedewszystkiem — odparł Żylewicz — daj pan pokój dobrodziejowi, bo ja nie jestem niczyim dobrodziejem. Ho! ho! jakie cygara arystokratyczne — dodał pudełko przeglądając, które służący przyniósł. — Nas, dziennikarzy z zawodu, nie stać na takie zbytki. Patrzcie! r e g a l j a! t r a b u k o s y!... Ale jest i jeden k u b a s... dla mnie wystarczy.

Wziął cygaro, i nie czekając, aż mu służący świecę poda, wyjął zapałkę z kamizelki i trąc ją o nogę z pod spodu, zapalił jednem pociągnieniem. Gospodarz czekał z najwyższą ciekawością. Jak dotąd ani przypuszczał, coby znaczyła ta wizyta.

— Wyżyński, trzeba panu wiedzieć — zaczął znowu Żylewicz siadając, — zdziecinniał na starość i do reszty zgłupiał. Już to prawdę powiedziawszy, ja do niego nigdy nie miałem szczególniejszego nabożeństwa i gdyby nie ja, *Teraźniejszość* byliby dawno djabli wzięli. Z tem wszystkiem jednak nie przypuszczałem, żeby mógł kiedy zrobić się aż takim niedołęgą; dziś obok niego walka niemożliwa... To nie człowiek, to jakiś bałwan, idjota! Wyobraź pan sobie, że od dwóch tygodni namawiam go, żeby się dobrał do pańskiej skóry, bo inaczej *Przyszłość* z pewnością go zabije, a on ani chce o tem słyszeć. I cóż pan na to?

— Przedewszystkiem muszę panu podziękować za otwartość, a panu Wyżyńskiemu za pobłażliwość dla mojej osoby — odrzekł Ryszard z uśmiechem, w którym była zmięszana boleść z pogardą.

— Mnie pan dziękować nie potrzebujesz, bo ja zawsze jestem otwarty. Zresztą, jako człowiek rozumny, łatwo się domyślisz, że inaczej właścicielowi *Teraźniejszości* radzić nie mogłem. Dla dwóch wielkich pism politycznych u nas nie ma pomieszczenia... albo jedno, albo drugie musi ustąpić! Pragnąłem żeby *Przyszłość* ustąpiła, a skoro głupi Wyżyński nie chce, to niech djabli biorą *Teraźniejszość*!

— Więc taki jej pan koniec prorokujesz?

— Spodziewam się że nie inny; przecie bezemnie istnieć nie może... ja zaś zerwałem już mosty za sobą, i właśnie to mnie tu sprowadziło.

— Czem więc mogę panu służyć?

— Dasz mi pan tę samą pensję, którą pobierałem od Wyżyńskiego, mianowicie 1800 guldenów rocznie, a prócz tego dostanę 2000 guldenów na rękę, na zapłacenie moich długów. Człowiek honorowy musi o długach pamiętać!

— A za co mam dać tyle, jeźli wolno wiedzieć?

— Za co? Za to, że będziesz miał Żylewicza, o którego starały się wszystkie dzienniki nowopowstające, który lepiej niż cała pańska redakcja potrafi walczyć z *Teraźniejszością*, nikt bowiem tak jak on nie zna jej stron słabych. Gdybyś pan był Niemcem lub broń Boże! Moskalem, nie poszedłbym do ciebie nawet za miljony, gdyż jestem uczciwym patryjotą, ale kiedy tak dobrze jesteś Polakiem jak i Wyżyński, więc pytam, czemu nie mogę pracować raz dla jednego, drugi raz dla drugiego? Mówią, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu... a ja utrzymuję, że i do Polski można dójść różnemi, byle były proste.

— I moje zdanie nie jest inne — przerwał Ryszard. — Według mego przekonania, różnica programów, w obronie których dwa odrębne pisma walczą, nie powinna jeszcze ludzi różnić, zwłaszcza, że trudno orzec, który z nich jest lepszy, i pewniej do celu prowadzi... Wychodząc z tego stanowiska, nie powinienem także godzić na zgubę moich przeciwników, raczej będę się starał przekonywać ich na drodze uczciwej.

Znając naszego przyjaciela, łatwo się domyślimy, jakie wrażenie zrobiła na nim propozycja Żylewicza, której z początku ani przypuszczał. Jako człowiek dobrze wychowany, nie chciał jednak szorstką odmową obrazić swego gościa, tylko w formie ile możności delikatnej, dawał mu do zrozumienia, że obejdzie się bez jego usług. Żylewicz jakoś nie mógł się tego domyśleć.

— Zaledwie kraj się dowie — znowu przemówił — że wstąpiłem do redakcji *Przyszłości*, *Teraźniejszość* straci zaraz połowę abonentów, cios zaś śmiertelny zadamy jej w sposób następujący: Każdego ćwierćrocza, aby być przygotowanym na wszelkie możliwości, odpisywałem sobie w administracji nazwiska przenumeratorów. Mając teraz ich adresy, będziemy im przez dni czternaście *Przyszłość* bezpłatnie posyłali. Równocześnie postaramy się, by przez ten czas wychodziła w fejletonie powieść zajmująca, za którąby kobiety przepadały. Po dniach czternastu, właśnie w dniu, w którym ciekawość czytelniczek będzie najbardziej zaostrzona, przestaniemy gazetę posyłać, poczem większa połowa tych, którzy ją przez dwa tygodnie dostawali, przyszle przedpłatę. Środek to niewątpliwy, bo już we Wiedniu wypróbowany. Kiedy współpracownicy starej *Pressy* założyli *Neue freie Presse*, postąpili sobie tak samo, i w jednym miesiącu zabrali starej *Pressie* 12.000 abonentów. Jeźli my tak zrobimy, do kwartału nie ma *Teraźniejszości!*

Żylewicz urwał. Oko jego tryumfem jaśniejące spoczywało na gospodarzu, który siedział smutny i zachmurzony. Spodziewał się uniesienia, słów podzięki, — tymczasem Ryszard głowy ku niemu nie podnosząc, odpowiedział z naciskiem:

— Środki, o jakich mi pan wspomniałeś, są może dobre dla żydów, którzy *Neue freie Presse* redagują, ale nigdy nie uzna ich za szlachetne ten, kto już niejednokrotnie wypowiedział przekonanie, że zżydoszczenie prasy uważa za jednę z największych klęsk ludzkości. Fałszywy liberalizm, sprzedajność i reklama stronnicza, oto co nam żydowska prasa przynosi! *Przyszłość* ma inne drogi i cele.

Żylewicz, chcąc naprawić złe wrażenie jego słowami wywołane, prędko podchwycił:

— Przecie nie twierdziłem stanowczo, że koniecznie musimy tak robić... My i bez tego damy sobie radę z *Teraźniejszością*, trzeba tylko...

— Ja na niczyją zgubę nie godzę — Ryszard przerwał, w słowo mu wpadając — i dla tego łaskawej propozycji przyjąć nie mogę.

— Co? Co?...

— *Przyszłość* nie może korzystać z pańskiego talentu. Jeźli Bóg pozwoli, sami się przebijemy.

Żylewicz porwał się z fotelu.

— Więc pan nie przyjmujesz mego współpracownictwa? — zapytał ze zdziwieniem.

— Z przykrością muszę sobie tego szczęścia odmówić.

— A czy nie wiesz panie Gozdawo, że dotąd nie było jeszcze pisma, które by się nie starało pozyskać Walerego Żylewicza, i że źle ten wychodzi, kto go ma przeciw sobie?

— Zakładając tu dziennik, z góry na wszystko się przygotowałem.

— Tylko właśnie nie na to, co pana może spotkać!

To mówiąc, Żylewicz ręką mu pogroził.

Nawet Ryszardowi było tego za wiele. Z godnością jak monarcha, gdy posłuchanie kończy, skłonił się swemu gościowi i powiedziawszy: Żegnam pana! — wyszedł do drugiego pokoju.

Żylewicz blady, drżący, stał jakiś czas na środku salonu, świdrując drzwi, które się za Ryszardem zamknęły. Potem zgrzytnął zębami, zaklął straszliwie, i czapkę na głowę nacisnąwszy wyszedł hardo do przedpokoju, gdzie Marcin stał już przy drzwiach otwartych.

W kwadrans później siedział w kawiarni pod „Dziką wroną“ a nazajutrz jakby nic nie zaszło, pisał znowu w redakcji *Teraźniejszości.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HISTORJA PARYŻANKI

NAJNOWSZA POWIEŚĆ OKTAWJUSZA FEUILLET.

Przesadą byłoby utrzymywać, że wszystkie panny na wydaniu są aniołami; lecz i temu nie da się zaprzeczyć, iż znajdują się anioły, pomiędzy pannami na wydaniu. Nie jest to nawet taką rzadkością, a co najdziwniejsza, zdarza się to częściej w samym Paryżu, niż gdzie indziej. W tej olbrzymiej cieplarni paryskiej, cnoty i występki, również jak talenta, rozwijają się z szybkością przerażającą, i dochodzą do najwyższego stopnia doskonałości, lub do szczytu zepsucia. Nigdzie nie wciąga się trucizn straszniejszych, nigdzie również nie oddychamy wonią cudowniejszą. Nigdzie kobieta, gdy raz jest piękną, nie potrafi być więcej czarującą; nigdzie, gdy raz jest dobrą, nie będzie lepszą.

Wiemy, iż margrabina de Latour-Mesnil, chociaż jedna z najładniejszych i najlepszych, nie była zbyt szczęśliwą w pożyciu małżeńskiem.

Margrabia nie był właściwie złym człowiekiem, ale lubił się bawić, a żona go wcale nie bawiła. Naturalnem tego następstwem było, iż ją zupełnie zaniedbywał; wiele łez wylała w ukryciu, czego mąż nie uważał i o co się bynajmniej nie troszczył; wreszcie umarł zostawiając w sercu żony bolesne uczucie, iż życie zmarnowała. Ponieważ to była istota słodka i skromna, w swojej dobroci niepojętej, sobie wszystko przypisała, i brakowi pociągających w niej przymiotów, a chcąc oszczędzić córce losu podobnego, wysiliła się aby zrobić z niej osobę dystyngowaną, i mogącą raczej niż każda inna, zatrzymać miłość, nawet w małżeństwie. Podobnie wyrafinowane edukacje córek, są w Paryżu, jak również i gdzie indziej jedyną pociechą wdów, nawet takich, których mężowie żyją jeszcze częstokroć.

Panna Joanna de Latour-Mesnil, była na szczęście obdarzoną przez Opatrzność wszelkiemi darami, które mogły zadowolnić nawet najwybredniejszą miłość własną macierzyńską. Umysł jej giętki, pojęcie bystre, nadawały się doskonale, od lat dziecięcych, do rodzaju uprawy, którą najprzód matka prowadziła. Później mistrze wyborowi, zawsze pod matki nadzorem, odkryli przed młodą dziewicą tajniki nauki i sztuki, wpoili w nią talenta, które są najpiękniejszą ozdobą kobiety inteligentnej. Co do ustroju moralnego, tym matka zajęła się wyłącznie, a dość było obcowania z nią i czystości jej myśli, aby utworzyć z córki istotę równie jak ona anielską.

Do wszystkich przymiotów, już wyliczonych, natura obdarzyła pannę Lautor-Mesnil, jeszcze jednym, bez którego słabość nasza obejść się nie umie, ceniąc nieledwie wyżej od innych, oto stworzyła ją prześliczną. Miała kibić i grację Rusałki, z minką trochę dziką, i z rumieńczykami dziecka strwożonego. Wyższość, którą w sobie przeczuwała, zdawała się jej zawadzać. Miała tejże dumę i wstydliwość jednocześnie. Z matką sam na sam, zdradzała się chętnie ze swojemi uczuciami, była pełną entuzjazmu, rozmowną, nawet szczebiotliwą; w liczniejszem towarzystwie siedziała najczęściej nieruchoma i niema, podobna do kwiatu pięknego, i tylko jej cudowne oczy za nią mówiły.

Dokonawszy za łaską Bożą dzieła tak cudownego, margrabina radaby była odpocząć, i miała co prawda wszelkie prawo do tego. Odpoczynek atoli nie dla matek stworzony, i margrabina została wkrótce wydaną na łup niepokoju gorączkowego, który wiele z naszych czytelniczek pojąć potrafi. Joanna skończyła lat dziewiętnaście, i trzeba było postarać się dla niej o męża.

Jestto niezaprzeczenie chwila w życiu matek najważniejsza. Że są wtedy zaniepokojone, to nas wcale nie dziwi, raczej nad tem się zastanawiamy, iż za mało troszczą się tą kwestją żywotną. Jeżeli każdą dobrą matkę w tej chwili stanowczej trwoga śmiertelna ogarnia, o ileż więcej mogła ją odczuwać, taka matka jak pani Latour-Mesnil, która była dość cnotliwą, aby prawdziwie dobrze córkę wychować, która urabiając swojemi dłońmi niepokalanemi, tę młodą duszę, a niepokąd i to młode ciało, tak wydoskonaliła, oczyściła, i że się tak wyrazimy — rozanieliła, wszystkie ciała tego instynkta. Taka matka powinna sobie z góry powiedzieć, że młodą dziewczynę na taką doskonałość urobioną, oddziela od ogółu młodzieży męskiej, która snuje się po naszych ulicach, a nawet zapełnia nasze salony, przepaść równie głęboka pod względem inteligencji i moralności, jaka zachodzi między nią a Negrem Zulusem. Musi sobie powiedzieć, że oddając na pastwę jednemu z takich ludzi swoje dziecię, skazuje córkę na najstraszniejszy mezaljans, i popełnia rodzaj świętokradztwa na swojem własnem dziele. Odpowiedzialność jej w tej kwestji, jest tem cięższą, iż młode dziewczęta, wśród naszych francuzkich obyczajów, nie są zupełnie kompetentne, aby brać na serjo wybór męża. Z małemi wyjątkami, kochają od razu na słowo, tego, którego im przedstawią, jako narzeczonego, gdyż żywa ich wyobraźnia, ozdabia go wszelkiemi przymiotami, które życzą sobie w nim znaleść.

Z wszelką więc słusznością, pani Latour-Mesnil, niepokoiła się myślą, aby córkę dobrze za mąż wydać. Co jednak rozumiała pod tem słowem „dobre zamęście" kobieta tak zacna i tak wykształcona, trudnem byłoby do pojęcia, gdyby się nie widziało codziennie, iż własne doświadczenie najboleśniejsze, miłość macierzyńska najprawdziwsza, umysł najwznioślejszy, a nawet najwyższy pietyzm, nie wystarczają, aby nauczyć matki olbrzymiej różnicy, między małżeństwem świetnem, a małżeństwem dobranem. Można wprawdzie znaleść czasem, jedno i drugie, jestto niezaprzeczenie przypadek bardzo szczęśliwy, trzeba jednak mieć się na baczności, gdyż świetne małżeństwo bywa częstokroć antypodą dobrego, a na razie tak nas swoim blaskiem olśniewa, iż na wszystko resztę robimy się nagle ślepymi.

Małżeństwo świetne dla młodej osoby, która jak panna Latour-Mesnil ma wnieść w posagu mężowi pięć kroć sto tysięcy franków, majątek ze strony męża od czterech do pięciu miljonów. Doprawdy, nam by się zdawało, że kobieta i mniejszym kosztem mogła by się czuć szczęśliwą. Każdy jednak przyznać musi, iż trudno odrzucić cztery miljony, gdy nam je ofiarują. Otóż w roku 1872 baron de Maurecamps ofiarował tychże sześć czy siedem pannie Latour-Mesnil, za pośrednictwem wspólnej przyjaciółki, dawnej metresy barona, zresztą wcale niezłej kobieciny.

Pani Lataur-Mesnil odpowiedziała z całą godnością, iż pochlebia jej podobna propozycja, prosi jednak o kilka dni do namysłu, i aby się trochę poinformować. Skoro jednak za pośredniczką drzwi się zamknęły, wpadła bez tchu do pokoju córki, porwała ją w objęcia, a tuląc z całej siły do łona zalała się łzami rzewnemi.

— A więc mąż? — rzekła z cicha Joanna, wpatrując się w matkę, swojemi, dużemi, płomienistemi oczami.

Matka głową skinęła.

— I któż to jest ten pan? — pytała dalej Joanna.

— Baron de Maurecamps!... Ach! widzisz moje dziecię, to za nadto piękne ... coś olśniewającego.

Przyzwyczajona uważać matkę za nieomylną, a widząc ją tak uradowaną, panna Joanna nie wahała się również, i dwie te biedne, kochane i kochające się istoty, długo, jeszcze długo, całowały się i płakały na przemian.

W ośmu dniach następnych, które pani margrabina miała użyć, aby zebrać jak najwięcej szczegółów co do życia dotychczasowego i osoby pana de Maurecamps, w rzeczywistości, jedynem jej staraniem było, zamknąć oczy i uszy, aby przypadkiem nie zbudzono jej ze snu błogiego. Zresztą rodzina i znajomi, obsypywali ją entuzjastycznemi powinszowaniami, z okazji losu tak świetnego, czytała tyle zawiści i zazdrości, w oczach matek rywalek, iż to wszystko utwierdziło ją tem silniej w raz powziętem przekonaniu. — Baron de Maurecamps został więc przyjętym najsolonniej.

Układają się małżeństwa jeszcze dziwaczniejsze — naprzykład takie, które zawiązują się po spotkaniu jednorazowem, w loży teatralnej, lub gdziekolwiek indziej, między dwojgiem nieznajomych, którzy później, aż nadto dobrze się poznają. Pani Latour-Mesnil i jej córka, spotykały przynajmniej w swojej sferze barona. Nie należał wprawdzie do ich gości codziennych, ale widywały go tu i owdzie w teatrze, w lasku bulońskim, wiedziały jak się nazywa, i znały maść jego koni. I to coś znaczy.

Pan de Maurecamps nie był zresztą zupełnie pozbawiony pewnych pozornych przymiotów. Wieku około lat trzydziestu, tytuł odziedziczył po swoim dziadku, jenerale z czasów pierwszego cesarstwa, majątek po ojcu, który nabył tenże uczciwie przez szczęśliwe spekulacje na polu industrjalnem. Żył co się zowie po pańsku. Sam, dzięki wspomnieniom, do jego nazwiska przywiązanym, zajmował niepoślednie miejsce między industryelami i należał do najwyższych sfer towarzyskich. Jedynak, a do tego miljoner, był wielce psuty przez matkę, służbę, przyjaciół, a nawet przez swoje metresy. Jego pewność i arogancja, a przedewszystkiem olbrzymi majątek, wzbudzały podziw u niektórych. W jego klubie słuchano go z rodzajem nabożeństwa. Zblazowany, sceptyczny, drwiący na zimno i patrzący z pogardą na wszystko, co mu się nie wydawało dość realnem i praktycznem, zresztą wielce ograniczony, mówił głośno i dobitnie, jakby nie wątpił o swojej wyższości i preponderencji. Ułożył sobie o wszelkich kwestjach życiowych, a szczególniej o kobietach, któremi pogardzał, kilka formułek, dość pospolitych, które uważał za nieomylne,

ponieważ miały zaszczyt do niego należeć: — To moja zasada... Takie jest moje przekonanie... Oto mój system... Tak się na to lub owo zapatruję... Podobne głośno brzmiące frazesa co chwila pojawiały się na jego ustach. Gdyby był się urodził ubogim, byłby tylko człowiekiem pospolitym; bogaty, został głupcem.

Dziwnem mogło by się wydać, iż podobny jegomość wybrał właśnie pannę Latour-Mesnil. Zrobił ten wybór przez wygórowaną miłość własną, a po trochę i z wyrachowania. W świecie paryskim Joanna uchodziła za skończoną doskonałość. Przyzwyczajony niczego sobie nie odmawiać i mieć wszędzie pierwszeństwo, zapragnął posiąść ten kwiatek cudowny i ozdobić niem swój kapelusz. Zresztą należało to do jego ulubionych formułek, iż, aby być szczęśliwym w małżeństwie, trzeba szukać żonę wytwornie wykształconą. Zdanie samo w sobie nie byłoby fałszywe, tego jednak nie wiedział pan baron, iż aby wyrwać jedną z takich plant rzadkich z cieplarni macierzyńskiej i przesadzić skutecznie na ślizki grunt małżeński, potrzeba rąk bardzo biegłego i pierwszorzędnego ogrodnika.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Ciąg dalszy.)

Sala balowa i obok niej znajdująca się oranżerja, były dotąd próżne. Dla tego może Oswald tutaj się schronił. Pierwotny jego projekt wyjechania w tej chwili z Ettersberg, spełzł na niczem; nie tylko bowiem Edmund przeciw temu oponował, nawet hrabina i jej brat prosili go usilnie, aby przed jesienią nie odjeżdżał. Bali się puścić go w tak nieprzyjaznem usposobieniu, i starali się grzeczniejszem z nim obejściem zatrzeć ile możności przeszłość w pamięci. O planach jego więcej mowy nie było.

Stał zadumany przed klombem kwitnących azalij; nie musiał ich jednak widzieć, bo może twarz jego byłaby się trochę rozjaśniła, patrząc na te cudne kwiaty, o barwach lśniących blaskiem tęczowym. Wyraz twarzy ponury, rysy zbladłe, usta kurczowo drgające, nie licowały co prawda z ogólnym nastrojem reszty gości, przesuwających się przez salony godowo przybrane, z uśmiechem stereotypowym na ustach. Była to jedna z tych rzadkich chwil w jego życiu, kiedy w zupełnej samotności zrzucał maskę z twarzy, maskę obojętności i spokoju lodowatego, tak niezgodnego z usposobieniem burzliwem i namiętnemi porywami wrącemi w jego łonie. Jak silnej potrzebował woli, jak wielkiego przezwyciężenia, aby wszystko długiemi latami tłumić w sobie, widać było po nim w tej chwili.

Pierś gwałtownie falowała, zęby zaciął, jakby się bał, żeby w nadmiarze boleści nie jęknął, lub słowem skargi, serca tajemnicy nie wydał. Czyż to była istotnie tylko podła zawiść, która oblicze jego tak groźnem czyniła, która takiemi piorunami gniewu źrenice jego zapalała? Czy nie było to raczej sprawiedliwe poczucie krzywdy wyrządzonej, oburzenie całkiem słuszne, ofiary, przeciw swoim prześladowcom, którzy prawa jego zdeptawszy nogami, teraz w zamku jego ojców bawią się wesoło.

— Znajduję cię nareszcie! — zabrzmiał głos Edmunda.

Drgnął na całem ciele, i szybko się ku drzwiom obrócił. Na progu oranżerji stał Edmund:

— Uważasz się zupełnie za gościa — przemówił z wyrzutem. — Usuwasz się od reszty towarzystwa, i spoczywasz sobie wśród kwiatów zieleni, gdy mnie już głowa pęka i język wysechł od ciągłego robienia honorów. Mógłbyś mi pomódz cokolwiek.

Oswald potrzebował krótkiej chwili, a sztuczna maska niczem nie zamąconego spokoju, znowu rysy jego wygładziła. Odparł jednak nie bez goryczy:

— Bo też to wyłącznie do ciebie należy. Jesteś przecie bohaterem dnia dzisiejszego!

— Prawda, prawda! W podwójnem nawet wydaniu — zaśmiał się Edmund — jako ordynat i narzeczony. Jako ten ostatni, muszę ci wymówić, żeś też wcale nie prosił Jadzi o jaki taniec na dzisiejszy wieczór. Mogłeś się spodziewać, że formalny szturm do niej przypuszczą, jako do najlepszej i najpiękniejszej danserki. Otóż ja za tobą prosiłem, i drugiego walca dla ciebie przeznaczyła; jedyny taniec wolny, który jej zostawili. Spodziewam się, że potrafisz ocenić tak wielkie z mojej strony poświęcenie!

Nie zdawał się jednak bardzo tą ofiarą zbudowany, przynajmniej nie w tym stopniu, jak Edmund oczekiwał. Odpowiedział dość zimno:

— Bardzom ci wdzięczny za pamięć, chociaż moim zamiarem było dziś wcale nie tańczyć.

— Nie, tego już zanadto! — rzucił się Edmund gniewnie. — Nigdyby ci Jadzia nie darowała, gdybyś tańca z nią nie przyjął. Dla czegoż? Przecie zawsze tańczyłeś?

— Gdyż stryjanka uwolnić mnie od tej pańszczyzny nie chciała. Uciążliwem mi to było zawsze; jak wiesz tańcu niecierpię!

Edmund wzruszył ramionami.

— Bądź jak bądź, tego jednego walca musisz przetańczyć, skoro go specjalnie dla ciebie wyprosiłem.

— Jeżeli panna Rüstow życzy sobie tego?

— Panna Rüstow! Zupełnie ten sam ton, w którym mi Jadzia przed chwilą oświadczyła: „Jeżeli pan Ettersberg pragnie tańczyć ze mną“. Ileż razy was prosiłem, żebyście raz porzucili te formy ceremonjalne, a weszli na drogę poufałych, rodzinnych stosunków. Wy tymczasem stajecie się co dzień sztywniejsi i zimniejsi dla siebie. Doprawdy! to już nie do wytrzymania!

— Myślę, iż nigdy w niczem nie uchybiłem twojej narzeczonej?

— Ach! nie, nie! Chyba przeciwnie! Jesteś z tak wielkiem dla niej uszanowaniem, że mnie, gdy na to patrzę, aż krew w żyłach stygnie. Nie pojmuję cię Oswaldzie! Tak się trzymasz zdaleka, i tak unikasz towarzystwa Jadwini, iż nie możesz się dziwić, jeżeli ona dotknięta twoją obojętnością, także czasem... trochę niegrzeczną jest dla ciebie.

Oswald machnął ręką, jakby go to wcale nie obchodziło. Urwał gałązkę kwitnącą, i obracał w ręku z roztargnieniem:

— Daj pokój tym wymówkom Edmundzie, i bądź pewny, że postępuję zgodnie z życzeniem twojej narzeczonej. Skoroś prosił ją o walca dla mnie, tańczyć go będę. Zresztą uwolń mnie od wszelkiego udziału w waszej zabawie. Było i jest moim stałym zamiarem dzisiaj nie tańczyć.

— O to mniejsza! — zawołał Edmund zawsze gotów do zgody. — Bierz na własne sumienie grzech wielki, że nasze piękne panie będą miały o jednego dansera mniej, ja cię przecie zmusić do tego nie mogę, a dziś niczem się gryźć nie myślę. Byłoby to zanadto niewdzięcznie z mojej strony, kwasić się w dzień tak uroczysty, który spełnia wszelkie życzenia serca mojego. Widzisz Oswaldzie jak to dobrze, iż nie brałem nadto tragicznie przeszkód stawianych nam przez rodziców. Wprawdzie czyn heroiczny papy Rüstowa uprościł nam znacznie drogę dotąd krętą i zawiłą, ale i tak byłem pewny, że zgoda nastąpi, a nasz romans poetyczny skończy się najszczęśliwszem małżeństwem.

Wesoły i pewny siebie Edmund, dziś więcej niż kiedykolwiek odbijał od ponurego i lodowatego Oswalda, który wpatrywał się teraz przenikliwie w kuzyna, promieniejącego szczęściem i rozkoszą obecnej chwili.

— Jesteś istotnie wybrańcem losu — odrzekł spokojnie. — Tobie wszystko się uśmiecha, wszystko ściele ci się pod nogi.

— Wszystko? — wpadł mu w słowo Edmund żartobliwie. — Otóż mylisz się! Nieograniczone uwielbienie naprzykład: mojego teścia, tobie, nie mnie się dostało. Ogłosił cię Urbi et Orbi skończonym gospodarskim genjuszem, marzy tylko o twojej praktyczności, i opłakuje pewno w głębi duszy, że nie ty jego zięciem zostaniesz.

Żart był najniewinniej rzucony. Oswald jednak źle go przyjął, brwi zmarszczył groźnie i szorstko odpowiedział:

— Ile cię też razy prosiłem, żebyś ze mną podobnych żartów nie używał! Czyż nie możesz mi tego oszczędzić?

Hrabia Edmund, którego gniew kuzyna zdawał się bawić niezmiernie, roześmiał się na głos cały:

— No, no, uspokój się! Przeciw podobnej zamianie, jabym najgoręcej protestował, a myślę, że i Jadzi nie byłaby wcale pożądaną. Nie sądź, bym ci chciał praw moich ustępować. Ale teraz chodźmy. Czas najwyższy wrócić do gości.

Oswald nie mogąc znaleźć dobrego pretekstu do zostania, uległ wezwaniu, i obydwaj weszli razem na salę balową. Tu już spostrzeżono nieobecność młodego ordynata. Hrabina szukała go wzrokiem niespokojnym, chcąc aby muzyka grać zaczęła, narzeczona z chmurką na czole i śliczną minką nadąsaną, znajdowała, że o wiele za długo bawił od niej zdaleka. Gdy zobaczyła z kim wrócił, zły humor zwiększył się jeszcze. Czyż to było warto odszukiwać Oswalda, i ją dla niego opuszczać?

Nie cierpiała tego zimnego, dumnego kuzyna, nie mogła mu darować, że nie znalazł dotąd dla niej jednego słówka pochlebnego, któreby należące jej się uwielbienie wyrażało. Nie starała się wcale ukryć, że walca z musu mu daje, bo tego życzył sobie narzeczony. Gdy przyszedł podziękować jej, za to odznaczenie, ani słowem mu nie odpowiedziała, tylko zajęła się wyłącznie figurkami swojego wachlarza, a skoro skończył, zaledwie mu główką skinąwszy, ku narzeczonemu się zwróciła. Edmund znowu oświadczył, jak jego usilności, by zbliżyć do siebie tych dwoje ludzi, przeciwny właśnie skutek odnoszą, co widząc i teraz, usta tylko przygryzł gniewnie.

Bal się rozpoczął, zajmując młodzież tańcem wyłącznie. Tylko Oswald stanowił wyjątek nie tańcząc wcale jak sobie był postanowił. Hrabinie mocno się to niepodobało, lecz wierna przedsięwzięciu, by go niczem nie drażnić, zostawiła go w spokoju, żadnych nad tem nie robiąc komentarzy. Za to tem gorliwiej oddawali się tańcowi Edmund i Jadwiga, gdyż oboje lubili namiętnie ten rodzaj zabawy. Nie można sobie wyobrazić piękniejszej od nich pary, gdy płynęli razem po sali; oboje promieniejący młodością, pięknością i rozkoszą, oboje otoczeni blaskiem przepychu i szczęścia aureolą, które darami swojemi, jak z rogu obfitości ze wszystkich stron ich obsypywało.

Sam baron Heideck, byłby przyznał dzisiejszego wieczoru, że wybór jego siostrzeńca jest dobry. Nigdy może Jadwiga nie była tak czarującą. Suknia z bladoróżowej gazy białemi koronkami ubierana i jak niebo gwiazdami, różami zasiana, cudnie ją stroiła, włosy spływały w długich lokach na śnieżne ramiona, wianuszek z róż nad czołem je przytrzymywał, z oczów tryskał ogień zapału i radość z odnoszonych tryumfów. Wprawdzie nie było tam już tej dziecięcej naiwności, która zrazu boi się prawie hołdów odbieranych, lecz przeświadczenie królowej salonów, że oddają jej tylko to, co jej się słusznie należy.

Edmundowi pochlebiał również niesłychanie szmer uwielbienia, który otaczał jego narzeczonę. Rozpływał się dziś w czułości dla niej, i w ogóle był porywającej uprzejmości, która mu wsystkich serca zjednywała tego wieczoru. Czyż nie dobrze nazwał go Oswald ulubieńcem losu, który wynosząc go na tak wysokie stanowisko, pozwolił mu w dodatku pójść w wyborze

żony za głosem serca, co tak rzadko jest przywilejem wielkich tego świata. Tak, tak, wszystko co ludzie szczęściem nazywają, było dotychczas jego udziałem.

Zaczął się walec, który wyprosił Edmund u narzeczonej dla swojego kuzyna; w tej chwili stanął przed nią Oswald, kłaniając się ze zwykłą mu zimną powagą.

— Wcale pan nie tańczysz — zauważyła Jadwiga ironicznie. — Zdaje się, że mnie jedynie spotka dziś ten zaszczyt, iż będę wyjątkiem w regule. Czy to prawda co te panie utrzymują, że tańcu nienawidzisz panie Ettersberg?

— Przynajmniej nie bardzo go lubię.

— O! w takim razie mocno żałuję, że dla mnie taką pan ofiarę ponosisz. Było to wyraźnem życzeniem Edmunda, abyśmy tym walcem zadość uczynili prawom etykiety.

Ukłucie chybiło celu, gdyż Oswald pozostał zupełnie spokojnym. Obszedł tę złośliwą uwagę odpowiedzią dwuznaczną:

— Nie wiedziałem czy powinienem przyjąć propozycję Edmunda. Musiałem wprzód dowiedzieć się, czy pani również sobie tego życzysz?

Zagryzła usta. Niegrzeczny kuzynek wcale nie zbijał twierdzenia, że tylko Edmunda wdanie się w tę sprawę do walca ich doprowadziło. Dawał jasno do zrozumienia, że i on o ten taniec wcale się nie dobijał. Na obliczu obrażonej piękności, zbierała się burza nielada, która miała się wylać na głowę narzeczonego. W oczach można było czytać jak chętnie radaby cofnąć przyrzeczenie i nie tańczyć wcale... uznała jednak, że na to już za późno i z rezygnacją położyła rękę na ramieniu dansera, który czekał cierpliwie na jej rozkazy. Za chwilę oboje po salonie wirowali.

Szczególny to był jednak taniec ten walec, którym miało się tylko dopełnić praw etykiety. Jadwiga postanowiła zbyć się tej powinności tak prędko, jak tylko będzie można, a tymczasem skoro ramię dansera w pół ją objęło, serce jej zabiło dziwnem uczuciem. Dotąd nawet sobie nigdy ręki nie podali, kończyło się wszystko na etykietalnym, sztywnym ukłonie. Dotąd Oswalda oczy omijały tak skutecznie postać Jadwigi, że ona tem się nawet czuła obrażoną; teraz wzrok jego spoczął na niej jak przykuty, i zdawało się, że go od jej wdzięków oderwać nie może. Te oczy płomieniste innym językiem do niej przemawiały, niżeli usta siłą woli ścięte i milczące. Pierś podnosiła się i opadała, ni to fale wzburzone, ramię, którem toczystą jej kibić opasywał, drżało febrycznie.

Odczuła to i podniosła na niego wzrok zdziwiony. Uderzyła ją znowu ta zagadkowa błyskawica, jak wtedy, pod lasem, lecz napróżno siliła się odgadnąć coby znaczyć miała (a myślała o tej zagadce częściej, niżeli sama przed sobą przyznać chciała) teraz atoli zaczynała ją pojmować. Nie była to jeszcze cała, olśniewająca prawda, lecz coś w jej duszy powstawało, niby cień mglisty, niby lekki zarys obrazu, który dopiero później ma przybrać kształty wyraźniejsze. Chociaż z tego obrazu wiało niebezpieczeństwo, była w nim jakaś siła magnetyczna, która bezwiednie ją przyciągała.

Machinalnie, jakby we śnie, obracała się młoda dziewczyna w takt muzyki. Sala rzęsiście oświetlona, dźwięki upajające kapeli, pary obok niej wirujące, wszystko to z przed oczu zniknęło. Jej się zdawało, że jakaś przepaść bezdenna, staje nagle pomiędzy nią a resztą otoczenia, i że jest na świecie sama, z tym jednym tylko, który ją trzyma w objęciu, pod urokiem tych oczu, przed którymi daremnie by uciec chciała, które ją silnie, nieodwołalnie do siebie przykuwają. Z tego chaosu myśli bezładnych, które jej skronie rozpierały, wyłaniało się powoli, i w jej duszy krystalizowało, przeczucie szczęścia tak wielkiego i bezgranicznego, o jakiem dotąd nawet nie śniła.

Walec się skończył. Kilka minut zaledwie tańczono, a jednak za długo to trwało dla obojga. Jeszcze raz spotkały się ich oczy, i chwilę tak stali niemi, drżący, od reszty świata oderwani. Wreszcie Oswald o krok się cofnął mówiąc głosem złamanym:

— Dziękuję ci pani.

Jadwiga nie zdobyła się na żadną odpowiedź. Główka jej powoli się chyliła, jak kwiat zbyt gorącemi słońca promieniami dotknięty. Nie było też i czasu na rozmowę, gdyż już stał Edmund przy nich, tryumfujący, że na swoim postawił, i gotów jak zwykle do żarcików i przekomarzań z tego powodu. Tym razem nie przyszło do tego, gdyż po tańcu dłuższa pauza nastąpiła i narzeczonych liczne grono pań i panów otoczyło, wciągając ich w ożywioną pogadankę.

Edmund, którego humor doskonały nie opuszczał ani na chwilę tego wieczoru, stał się wkrótce środkowym punktem całego zgromadzenia. Rozmowa jego tryskała dowcipem i iście szaloną werwą. Jadwiga uśmiechała się również i coś odpowiadała; w odpowiedziach atoli nie było ładu, a uśmiech był tak mdły, taki wymuszony, jakby wcale do niego nie była usposobioną. Przed chwilą jeszcze oddawała się z całą namiętnością zabawie; twarz jej promieniała radością i wesołością... nagle wszystko jej to zobojętniało. Żarty Edmunda i pochlebne słówka, któremi ją obsypywano, brzęczały w koło niej jak rój much naprzykrzony. Nie rozumiała ich znaczenia, choć niby to z uwagą im się przysłuchiwała.

Słuchała i patrzyła na wszystko jakby przez gęstą mgłę. Nawet jej przeszłość cała, zacierała się w duszy, nawet o miłości dla Edmunda wątpić zaczynała, tylko o jednem, jedynem myśleć mogła, tylko pagórek pod lasem stał jasno przed jej zamglonemi oczyma. Teraz i dla niej feta cały urok straciła. Musiała się przymuszać, aby brać udział w zabawie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

GENJALNY INŻYNIER

NOWELLA.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy).

Ubierając się na obiad, Harold mimowoli myślał wciąż o nizkiej chacie rodzinnej, o łąkach nad strumieniem, o borach bukowych. Zdawało mu się że słyszy ryk bydła, szmer wody ciekącej po kamieniach, głosy rodziców, siostry i brata — nie mógł się pozbyć wspomnień, które powracały uparcie.

— Co się ze mną dzieje? — pytał się zdumiony.

Zabobonni ludzie utrzymują, że skoro człowieka nawiedza wspomnienie lat dziecinnych, w jego życiu zajdzie niebawem ważny jaki wypadek. Harold przypomniał sobie ten przesąd i uśmiechnął się.

— Cóż mnie tu spotkać może? Chyba to, że wybuduję najpiękniejszy most w Anglji, — rzekł, kończąc ubranie.

W tej chwili ozwał się dzwonek i młodzieniec pospieszył do salonu. Nikogo jeszcze nie było, mógł więc swobodnie zachwycać się przepyszną komnatą, zapełnioną najrzadszemi zwrotnikowemi roślinami o barwnych i pachnących kwiatach, wśród których przezierały posągi i znakomite obrazy, godne najpierwszych galeryj. Z okien widać było rozległe ogrody, kryształowe fontanny i błyszczące w oddali fale rzeki.

— Coby też powiedziała matka i Kasia, zobaczywszy taki salon? — myślał Harold, rozkoszując się atmosferą zbytku i bogactwa.

Nagły szelest zwrócił jego uwagę — spojrzał w stronę cieplarni, łączącej się z salonem i osłupiał z zachwytu. Biała rączka podniosła zasłonę z purpurowego aksamitu ze złotemi frendzlami, za tą rączką wysunęło się śnieżne, niby z marmuru utoczone ramię, brylantową objęte bransoletą i wysmukła postać dziewczęca ukazała się na progu.

Harold stał nieruchomy, wpatrzony w to urocze zjawisko. Regularne rysy nosiły na sobie piętno wysokiego rodu, delikatny rumieniec barwił prześliczne lica, duma i słodycz cechowała drobne usta, włosy koloru matowego złota tworzyły jasną aureolę nad śnieżnem, inteligentnem czołem. Ale najpiękniejszą ozdobą jej twarzy były oczy — wielkie, błyszczące, w ciemne rzęsy oprawne, a modre jak fiołki leśne. Każdy jej ruch odznaczał się niezrównanym wdziękiem, wytwornością i dystynkcją, jednem słowem, była to piękność skończona.

Stała przez chwilę ujęta w ramy purpurowych, aksamitnych draperyj; błękitna, jedwabna suknia, pajęczemi ozdobiona koronkami, obejmowała jej posągowe kształty, w uszach, na ręku i na szyi błyszczały brylanty.

Harold stał olśniony, oczarowany — nigdy nie widział tak pięknej kobiety, nigdy o niej nie marzył nawet.

Hrabianka zwolna opuściła zasłonę i zbliżyła się do gościa; młodzieniec zadrżał.

Głębokim ukłonem odpowiedział na jej uprzejme lecz dumne skinienie, pytając się w duchu, czy też piękna panna poda mu rączkę, czy zauważy jego wzruszenie, czy się domyśli uczucia, które w jednej chwili z niepokonaną siłą ogarnęło jego serce.

— Zapewne pan Vibart? — zadźwięczał srebrzysty głos hrabianki; — czy widziałeś się już pan z lordem Andley?

Harold był tak pomięszany i wzruszony, że zaledwie zdołał wyjąkać kilka słów odpowiedzi. Myśli mu się plątały, płonęła głowa, serce biło jak młotem.

Miss Liliana spojrzała na niego i wszystko zrozumiała, — przyzwyczajona bowiem była do tego, że jej piękność na każdym mężczyźnie potężne sprawiała wrażenie, cóż dziwnego, że ten młody „rzemieślnik“, jak go nazywała, nienależący do jej świata, uległ jak inni. Jego uwielbienie mało ją obchodziło.

Wejście lorda Andley i gości bawiących w zamku, przywróciło Haroldowi przytomność umysłu; wszystkim został przedstawiony i od każdego usłyszał miłe, pochlebne słówko. Półkownik Gordon był zachwycony młodym inżynierem i zaraz wdał się z nim w żywą rozmowę.

Kiedy Liliana przechodziła obok niego, Harold odwrócił głowę, lękając się, żeby widok tej nadobnej twarzy nie odebrał mu znowu przytomności umysłu. Przy stole nie śmiał patrzeć na nią, gdyż sam dźwięk jej głosu wprawiał go w pomięszanie, a rozmowa z półkownikiem wymagała uwagi.

Kiedy po obiedzie półkownik Gordon wyprowadził go na taras dla wypalenia cygara, Harold rzekł nagle:

— Nie wiedziałem, że lord Andley ma córkę.

— Nie wiedziałeś pan? — rozśmiał się półkownik — a więc jesteś chyba jedynym młodzieńcem, który nie wiedział o istnieniu miss Liliany, królowej modnego świata.

— Jest bardzo piękna — mówił zadumamy Harold.

— Bardzo piękna, bardzo rozumna, bardzo dystyngowana i bardzo bogata; posiada wszystkie wdzięki i zalety, a przytem jest najdumniejszą dziewicą w Anglji!

— Najdumniejszą dziewicą w Anglji, — zwolna powtórzył młodzieniec zapominając o cygarze.

— O tak, umie patrzeć na ludzi i nie widzieć ich wcale, jeżeli taka jej wola. Chyba żadna panna w Anglji tyle nie rozdała koszyków co ona; możnaby liczyć na setki jej wielbicieli. Jest dumną i nieprzystępną.

— Żal mi tych, z którymi tak wyniośle się obchodzi, — rzekł Harold, zastanawiając się, czy i na niego będzie patrzała, nie racząc go widzieć.

— Najdumniejsza dziewica w Anglji — powtarzał potem w samotności swego pokoju.

Wierzył temu i nie dziwił się wcale — któż mógł się równać pod względem wdzięku i piękności z szlachetnie urodzoną hrabianką, dziedziczką bogatych włości? Co pomyślała o nim, kiedy jej dumne, spokojne oczy

spoczęły na jego twarzy? Może nie raczyła go widzieć, ponieważ nie należał do jej świata?

Harold otworzył okno, żeby wieczorny powiew wiatru ochłodził rozpaloną głowę, w której cisnęło się tysiące myśli.

— Co się ze mną dzieje! — zawołał, przykładając dłonie do czoła — oczarowała mnie jednem spojrzeniem... Nie poznaję siebie.

Nigdy nie zapomniał tej nocy, spędzonej na gorączkowych marzeniach.

Obudziwszy się nazajutrz, przypomniał sobie, że hrabianka będzie ojcu towarzyszyła w wycieczce nad brzeg rzeki. Myślał o tem jedynie, co jej powie, jakim sposobem zdoła zwrócić na siebie jej uwagę.

Zobaczył ją przy śniadaniu w białym, muślinowym negliżu, z ponsową różą przy piersi; matowo złote włosy zebrane były w jeden wielki węzeł i z prostotą okalały królewską główkę. Harold patrzał z zazdrością, jak podawała rękę półkownikowi, kiedy jego powitała tylko lekkiem skinieniem głowy, dodając kilka słów uprzejmych.

Po śniadaniu hrabianka poszła się przebrać na zamierzoną wycieczkę. Poranek był cudowny, ziemia kąpała się w gorących blaskach słonecznych, upajająca woń kwiatów napełniała powietrze.

— Powóz już zajechał — zawołał lord Andley — panie Vibart, proszę, pomóż pan teraz wsiąść miss Lilianie.

Delikatna rączka przez sekundę pozostała w jego dłoni. Hrabia życzył sobie, żeby młody inżynier usiadł naprzeciw córki, mógł więc przez całą drogę poić się jej widokiem, spoglądać w te dumne, piękne, pogodne oczy.

Z początku lord Andley tylko podtrzymywał rozmowę, hrabianka milczała, roztargnionym wzrokiem wodząc po okolicy. Harold unosił się nad pięknością położenia i przytoczył ustęp z całkiem nieznanych jej poezyj.

— Czyje to wiersze? — zapytała, zwracając się do niego.

Powiedział jej nazwisko autora i zaczął przytaczać coraz piękniejsze i dłuższe ustępy, którym dźwięczny głos i wyborna deklamacja jeszcze większy nadawała powab. Miss Liliana słuchała z zajęciem, chwaliła nie jeden wyjątek, rozmawiała z nim grzecznie, Harold jednak czuł, że nie obchodzi się z nim jak z równym. Ha! nie darmo ją nazywano najdumniejszą dziewicą w Anglji. Harold przyznawał w duszy, że jest dla niego tak niedostępną, jak gwiazdy na niebie, a jednak pozwolił potężnej namiętności owładnąć całą swoją istotę.

Lord Andley zaczął go wypytywać o zamierzony tunel podmorski; młody inżynier zmuszony odwrócić oczy od hrabianki, zaraz odzyskał swobodę i przytomność umysłu i z porywającą wymową zaczął kreślić olbrzymie plany drogi, która połączyć miała dwa państwa.

— Ludzie wynaleźli już sposób podróżowania w powietrzu i pod wodą — rzekł hrabia; — gdzież będzie kres ich potęgi?

— Potęga ducha ludzkiego nie zna kresu! — zawołał Harold z zapałem; — mówią, że świat jest stary, ja utrzymuję przeciwnie, że świat jest jeszcze w kolebce.

Miss Liliana zwróciła ku niemu oczy pełne zajęcia.

— Jeśli to jest dzieciństwo, czemże będzie wiek dojrzały? — zapytała.

— Trudna nato odpowiedź, — odrzekł inżynier, — jeszcześmy nie owładnęli elektrycznością, magnetyzmem, jeszcze nas otacza tysiące tajemnic i zagadek, jeszcze nie wszystkie gałęzie nauki są poznane i zgłębione. Oh! jakżebem chciał żyć w czasach, kiedy dla ducha ludzkiego nie będzie już zapór i przeszkód, kiedy nauka nie będzie już miała tajemnic, kiedy spadną zasłony kryjące nam cuda przyrody!

— I ja także chciałabym żyć wtedy, — poważnie dodała hrabianka.

Harold z zapałem rozwijał swoje poglądy na obecną epokę, miss Liliana słuchała go z rosnącem zajęciem i mimowolnym podziwem dla jego intelligencji i wykształcenia.

Hrabia przerwał ich rozmowę, zwracając uwagę Harolda na miejsce, jego zdaniem bardzo stosowne do postawienia mostu. Młody inżynier inne miał przekonanie i szczegółowo objaśnił, dlaczego w tem miejscu budowa stanąć nie może.

— Słuchając pana zdaje się, że zbadałeś wszystkie tajniki żywiołów, poznałeś ich siły i zamierzasz walczyć z niemi — rzekła z uśmiechem miss Liliana — mówisz pan tak, jak gdyby w mocy było opanować ziemię i wodę, przenosić wzgórza, wyrównywać doliny, ciskać niby piłką olbrzymiemi masami granitu i żelaza.

— Ludzie są panami ziemi — odparł młodzieniec — ona powinna ulegać ich woli, a wszystko co w niej lub na niej istnieje, stanowi dla nas materjał do pracy.

— Pracy — chłodno powtórzyła hrabianka — pan bardzo wysoko zdajesz się stawiać pracę.

Harold się zarumienił.

— O! tak, stawiam ją bardzo wysoko, mojem zdaniem praca uszlachetnia człowieka.

— Szanuję bardzo pracę ale nie każdą — rzekła miss Liliana — praca umysłowa bardzo mię zajmuje, ręczna nie.

— Muszę ci się sprzeciwić, moja droga Lili — wtrącił hrabia — zdaje mi się, że żadna praca nie budzi w tobie wielkiego zajęcia.

— Brzydzę się próżniactwem, — żywo odparła miss Liliana.

— Tyś patrycjuszka od stóp do głów — roześmiał się ojciec — przebywasz tylko między ludźmi swojej sfery i nie raczysz nawet patrzeć na innych.

— Coby też ona powiedziała gdyby się wykryło, że jestem synem biednego wieśniaka, który sam pracuje w roli; — pomyślał Harold.

Zbliżali się właśnie do najpiękniejszej miejscowości w Ulverscroft, gdzie rzeka znacznie rozszerzona płynęła między zielonemi wzgórzami.

— Most prześlicznie by wyglądał w tem miejscu — zawołała rozpromieniona hrabianka — krajobraz wieleby na tem zyskał, a przytem jest to najulubieńszy cel moich przechadzek. Panie Vibart, proszę, postaw go tu koniecznie.

— Istotnie, jest to najwłaściwsze miejsce, ale koszta budowy podwoją się wtedy, — zauważył inżynier.

— Nic nie szkodzi — rozśmiała się miss Liliana — proszę cię ojcze, niech ten most tu będzie, ja tego pragnę!

— Dobrze moja droga — rzekł hrabia — wysiądźmy z powozu i zbliżmy się do rzeki, żeby zbadać miejscowość.

Zaczęli się wdzierać na wzgórze panujące nad wodą. Harold szedł obok miss Liliany, która rozmawiała z nim uprzejmie i poważnie, lecz dumnie zarazem. Kiedy ścieżka stawała się spadzistą, młodzieniec machinalnie podał rękę, którą Liliana przyjęła, ku wielkiemu jego zdziwieniu i radości.

— Nie byłaby dotknęła mojej dłoni, gdyby wiedziała kim jestem, pomyślał z goryczą, czując jak wielka przestrzeń dzieli go od „najdumniejszej dziewicy w Anglji“.

Ona tymczasem z zajęciem słuchała jego opowiadania o nurkach pracujących w głębi wód nad budową filarów, podtrzymujących mosty.

— Co za odwaga! — zawołała, niepodobna jednak, żeby człowiek zanurzony w tych ciemnych i zimnych, jak grób milczących głębinach, gdzie roją się straszne nieznane potwory, nie doznawał uczucia trwogi?

— Trwoga byłaby mu przeszkodą w pracy, musi się więc nie bać.

— Jakże ciężko muszą ludzie pracować! — aż do do tej chwili nie myślałam o tem.

— Dlatego że w obecności pani rzadko wymawiano to słowo „praca“, a przecież ona podnosi i uzacnia człowieka.

— Człowieka zacnego rodu — przerwała miss Liliana — gdyż ubodzy muszą pracować, żeby z głodu nie umrzeć; dla nich jest to konieczność, nie zasługa.

Harold westchnął, boleśnie dotknięty jej słowami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

KATASTROFA.

O katastrofie na jeziorze Ontario podają depesze dzienników angielskich z New-Jorku bliższe szczegóły. W poniedziałek (23 b. m.) wieczorem trzy statki towarzystwa „River Thames Navigation“ przewiozły mnóstwo osób, z miejscowości London, nad brzegiem jeziora Ontario położonej w Kanadzie, do parku Wooland i Wars-Dock, gdzie odbywał się festyn ludowy z okazji dnia urodzin królowej angielskiej. W ciągu dnia wtorkowego zgromadziło się tam jeszcze więcej ludzi, Woodland bowiem jest ulubionem miejscem wycieczek dla całej okolicy. Pod wieczór dnia tego zaczęto trzema statkami odwozić uczestników wycieczki do domu. Jeden z tych statków: *Victoria*, opuścił przystań Springbank o godzinie 6-ej mając na pokładzie 400 pasażerów, zarówno mężczyzn jak kobiet i dzieci. Był to w ogólności pierwszy kurs tego okrętu w bieżącym sezonie. Maszyna jego niedawno dopiero została naprawioną, a kurs próbny, odbyty dniem przedtem, nie pozostawiał nic do życzenia. *Victoria* miała w pół godziny po opuszczeniu Springbank zawinąć do stacji Dundas-Strett; jazda odbywała się w zupełnym porządku wzdłuż wybrzeża. Urzędnicy przystani twierdzą jednak, że okręt ten był przeładowany, niektórzy jednak nawet utrzymują, iż tułów jego był zarysowany. Na pokładzie znajdowała się także kapela, z czego korzystając podróżni, skupili się w przedniej części tegoż, uformowali koło i zaczęli tańczyć. Na najbliższym przystanku wsiadło jeszcze około 200 osób. Kiedy okręt podjeżdżał pod most kolejowy na rzece Cove, w odległości mili angielskiej od miasta London, przechylił się nagle na jedną stronę, tak, że cały tłum na pokładzie zsunął się na drugą, przez co okręt już zupełnie wyszedł z równowagi, zanurzył się i zaczął iść na dno. Katastrofa była tak nagłą, że przyrządy do ratowania nie mogły być użyte. Znajdujące się w pobliżu okręty przybyły bezzwłocznie z pomocą i wielu rozbitków szczęśliwie sprowadziły na brzeg. Woda w tem miejscu ma 13 stóp głębokości i ma prąd nadzwyczaj bystry, skutkiem czego znaczna liczba nieszczęśliwych uniesiona została prądem daleko na jezioro, gdzie nie mogła być odszukaną. Liczą takich około stu. Liczba zwłok wyłowionych na wodzie do południa dnia następnego wynosiła 170. Na brzegu odgrywały się sceny rozdzierające serce, najmniej bowiem 1,000 rodzin w mieście oczekiwało powrotu swoich z wycieczki i było świadkiem strasznego nieszczęścia. Ofiary znajdowano w całych grupach, dzieci i rodziców trzymających się jeszcze po śmierci konwulsyjnie w objęciach. Przez całą noc przy świetle beczek naftowych niesiono pomoc walczącym z falą i wyławiano zwłoki rozbitków, a w mieście ani jedno oko się nie zmrużyło.

DRAMAT MIŁOŚNY.

W tych dniach w Strakonnicach pod Pragą, w domu fabrykanta Hana otruła się młoda i piękna Marja Wendler, guwernantka, jak się następnie pokazało, w skutek trudności stawianych przez jej rodziców przyjściu do skutku związku małżeńskiego z kandydatem nauczycielskim Gustawem Natal. Na kilka godzin przed pogrzebem, w piątek, ten ostatni przybył do pokoju, w którym wystawione były zwłoki nieszczęśliwej kochanki, złożył na trumnie wieniec i po odmówieniu krótkiej modlitwy, klęcząc, strzelił do siebie z rewolweru. Żył jeszcze, kiedy przybiegli domownicy, rana jego jednak była śmiertelną.

Do niniejszego numeru dołączamy przekazy zwrotne dla tych Sz. prenumeratorów, którym się kończy prenumerata 30. Czerwca t. r.

Upraszając o wczesne odnowienie prenumeraty dla uregulowania przesyłki, notujemy że:

prenumerata kwartalna wynosi . 2 zł.
do końca roku . . . 4 zł.

Administracja.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.